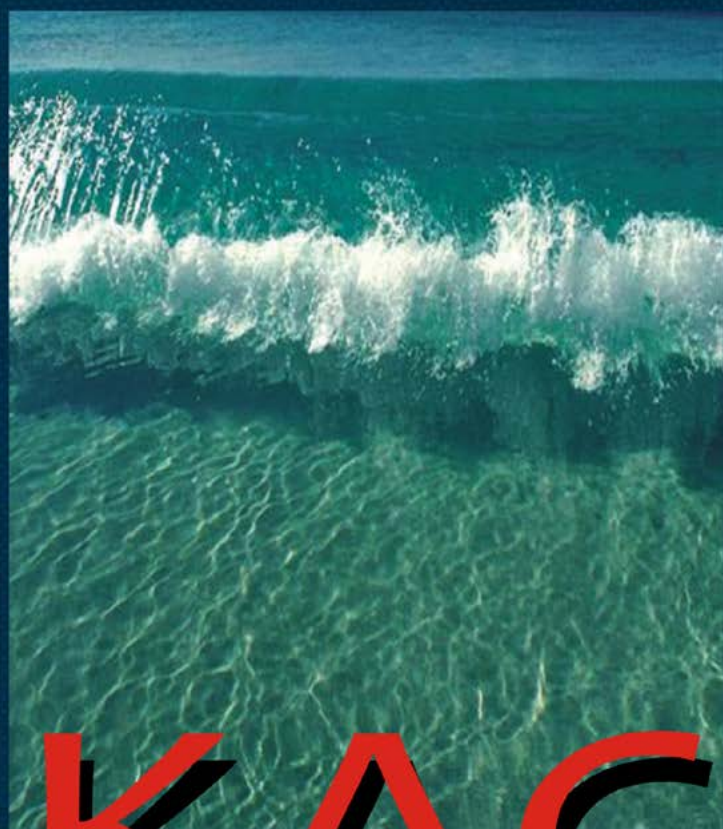


Wojciech T. Pyszkowski



KAC

Wojciech T. Pyszkowski

KAC

© Copyright by
Wojciech T. Pyszkowski & e-bookowo

Projekt okładki: Anna Bugaj Janczarska

ISBN 978-83-7859-733-9

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości

bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie II poprawione 2016

Navigare...
A, niech to...

ROZDZIAŁ KOLEJNY

Mam potwornego kaca.

We łbie wali mi tysiące młotów. Albo jeszcze gorzej – tysiące opętanych ciężką pracą, zdezelowanych i jęczących statkowych kabestanów. Przez zabrudzony bulaj wcieka niechętnie światło zupełnie obojętnego mi dnia. I kiedy tak leżę, w półśnie-letargu, napływa idiotyczne wspomnienie wczorajszego „festiwalu”...

„Franek, steward dejman, nachyla się nade mną i dyszy:

– Ty, zajrzyj do mojej głowy, ty...

Rozłupuję w myślach ten kokosowy orzech.

– I co? Co widzisz?

– Nic – odpowiadam.

– A krasnoludki? – Pyta. – Krasnoludków nie widzisz?

Może i ma te krasnoludki, albo nawet i palmę. Stanowczo za wcześnie odbija mu szajba.

W zadymionej kabinie jest nas tylko pięć osób, a atmosfera gęsta jak w starym, zatęchłym grobie nałogowego alkoholika, z tą tylko różnicą, że świeci się światło.

Franek ciężko opada na kanapę tuż obok swojej żony. Jest bardzo pijany, ale trzyma się całkiem niezle. Naprzeciw, wtopieni w miękki materac koi, obejmują się – Wacek i też, psiakrew, jego żona. Stanowczo za dużo tych kobiet. Kobieta Wacka, dorodna i czerstwa, też ma już w czubie. – Nie pij – brzęczy mu nad uchem – nie pij tak dużo. Musisz jeszcze wykąpać dziecko.

Słyszę to jak przez mgłę, ale gwałtownym, pijackim ruchem zwracam ku niej głowę, aż zatrzeszczało w karku. – Wykąpie je w domu – mówię.

– Nie wykąpie. U nas, na wsi, nie ma prysznicu. Tylko tutaj można porządnie się umyć.

– Tak – potwierdza Wacek. – Niedawno wpadł tutaj kumpel ze «Skrzata» i dopiero wywalił gały. «Ale u was kabiny» mówił.

Nic dziwnego. «Skrzat» to parszywy kalosz. Raz tylko dałem się nabrać na jeden, jedyny rejs na nim, ale wtedy nie miałem innego wyjścia. Musiałem być często w Szczecinie, bo moja sprawa docierała właśnie do Izby Morskiej...

Przez chwilę usiłuję przełknąć ohydne wrażenie, nie zatarte jeszcze, ponieważ ten cały kram nie znalazł dotąd epilogu. Ciągnie się to już od września...

No więc, krótko mówiąc, musiałem być uchwytany przez panów tkwiących w Komisji Poawaryjnej, w PŻM i przeróżnych inspektoratach. «Skrzat» przeważnie chodził na południową Finlandię. Ale kiedy w zimie skuło lodem Zatokę Botnicką, zrobił parę rejsów na Anglię i wypadł z kolejki. I właśnie dlatego miał płynąć aż za Kwarki, prawie pod Koło Podbiegunowe. «Rejs», myślałem, «nie będzie ciężki. Trochę zarobię, a z nawigacją po Bałtyku zdążyłem się otrząsać». Więc kiedy nadarzyła się okazja i kolega musiał akurat zmustrować, wskoczyłem na jego miejsce.

Szedłem na statek z wielkimi oporami. Ja, długodystansowiec, przyzwyczajony do swobody i przestrzennych kabin. Wlazłem do niewielkiej komórki, półtora metra na dwa, i z miejsca musiałem wejść na koję, żeby móc zamknąć za sobą drzwi. A sam statek – pozał się Boże. Tak jak mówił kiedyś w Domu Marynarza Czarek, z którym skończyłem Szkołę Morską: «Kiedy staniesz na takiej łajbie wzdłuż jej pokładu, to pięta wystaje ci poza rufę a palce poza dziób. A kiedy chcesz stanąć w poprzek, to dasz radę tylko na jednym palcu.»

Wytrzymałem tam dwa tygodnie i miałem dosyć. Obijałem się w wąskich korytarzach, garbiłem w mikroskopijnych drzwiach i co chwilę obstukiwałem boleśnie piszczele o wysokie progi. A kiedy przysłała mała fala, taka, której nawet nie dawało się zauważyć, stateczek przewracał wszystkie wnętrza. Sterczałem wparty w pokład sterówki i głowę wciskałem w chłodną szybę bulaja.

Cieśla stał przy sterze i opowiadał, jak to dawny Trzeci, kiedy tylko zakołysało, wyskakiwał na skrzydło i do końca wachty nie pokazywał się w sterówce. Cieśla, stary matros, od razu przypadł mi do gustu. Myślę, że sympatia stała się wkrótce obopólna, bo bardzo chętnie rozmawiał za mną, kiedy musiał sterować. Mrok wlaził do ciemnej sterówki. Otulał bezszelestnie i dobrotliwie wszystko, co

się w środku znajdowało. A myśmy rozmawiali. Czas przyjemnie płynął. Patrzyłem w gęstą masę wody, w migoczące światła i na moment powracała znajoma satysfakcja, że znowu jestem tutaj. Ale po chwili wyłaziło złośliwie TAMTO, To Zdarzenie Z Września. Zadowolone pryskało, jakby nigdy się nie pojawiło.

Niech to wszystko szlag trafi...

Wacek bredzi coś jeszcze o kąpeli. Żona Franka pije jak smok i ani drgnie. Chyba w dalszym ciągu jest trzeźwa. Przelykam z obrzydzeniem któryś tam z kolei łyk «eksportowy» i czuję, jak wszystko zaczyna mi się kielbasić. Znajduję się nagle w kabinie sam, z trzeźwą żoną Franka. Głupia sytuacja. Odsuwam fotel, otwieram pierwsze z brzegu drzwi, żeby wyjść i staję jak wryty: nad sedesem kiwa się rozkraczona ta dorodna kobieta z miękkiego materaca i sika. «Przepraszam» bełkoczę i wychodzę na korytarz. Opieram się o szot i usiłuję okiełznać wyobraźnię. Widzę siebie wchodzącego do tej ubikacji, zamykającego drzwi i rzucającego się na nią, tę z rozstawionymi nogami...

Stop. Widać, że już trzy tygodnie jestem bez kobiety. Aż trzy tygodnie? Cholera, a co dopiero będzie podczas rejsu? To na moim łbie drobne buciki krasnoludków powinny stukać szaleńczego kaza-czoka. A Franek? Czego on teraz chce? Przecież ma jeszcze swoją żonę. Przecież dopiero jutro pójdzie odprowadzić ją na dworzec. Ale to właściwie jest jeszcze gorzej – rozstanie ma dopiero przed sobą...

Gdzie oni poszli?...

Po schodkach złazi Franek.

– Ty – pytam – czy następne pół litra mam wypić sam?

Franek nagle robi wrażenie zupełnie trzeźwego.

– Poczekaj – mówi – Wacek kąpie dziecko, a żona kładzie spać moje bachory. Nie bój się, wypijemy.

Idę więc po moją wódkę. A potem czekam w kabinie Cieśli, który siedzi na zamkniętym śmietniku i oczy ma już kwadratowe. Otrząsa się na moment i wlepia wzrok w butelkę.

– O, Asystent przyszedł się wkupić – mówi bardzo wyraźnie i opuszcza głowę.

Jego wyciągnięte sztywno nogi sięgają aż pod koję. Długa, wąska kabina przedstawia obraz nędzy i rozpacz. Niemal wszystkie

kabiny noszą na sobie w takich chwilach podobne piętno. Zmięta pościel, plamy na podłodze, szkło, przewalające się butelki. Podchodzę do bulaja i mocuję się z zaśniedziałymi śrubami. Przerażliwy pisk zapieczonych gwintów podrzuca cieślą.

– Odwal się od tego – bełkocze i podnosi się ospale, na oślepcie macając ręką. Odpycham go gwałtownie, może zbyt gwałtownie i Cieśla leci niepohamowanie, aż na drzwi.

– Ty skur... ty skur... – Dławi się z wściekłości i chwyta mnie za piersi, kiedy pochylam się nad nim. Dźwigamy się obydwaj z wysiłkiem, patrzę w jego oczy nabiegające łzami. Słyszę, jak mi pęka koszula na plecach. Cieśla wisi uczepiony mojej szyi, przez chwilę sprężony, a potem stopniowo flaczejący. Rozginam mu ręce i sadzam na koi. Opiera głowę o blat biurka i dopiero teraz spostrzegam, że z jego karku sączy się krew. W rance tkwi odłamek szkła. Wyciągam go delikatnie i usiłuję tamować krew chustką, która powoli nasiąka i czerwienieje. Cholera, że też nic innego nie mam pod ręką. Biorę butelkę i pociągam parę solidnych łyków. Patrzę z przyjemnością na złoto-czarną nalepkę i nagle czuję silne uderzenie w rękę. Butelka leci w kąt i rozpryskuje się w blaszanej śmietniczce. Przed oczyma miga obraz rozwścieczonej kobiecej twarzy. A więc to tak, wściekła samiczko?...

– Świnie, podłe świnie, degeneraci – Krzyk piskliwy, śmieszny. – Nic, tylko by chlali. Wóda, wóda, wóda... Już ja z wami zrobię porządek. Zobaczycie, pójdę... pójdę...

– No, gdzie pójdiesz? Do pana Boga? – Chwytam ją za ramiona i sadzam na śmietnik. Cieśla wali się na koję i chyba śpi, bo z gardła wydobywa mu się charkot, podobny do chrapania.

– Niech się pani uspokoi – mówię i odkładam zakrwawioną chustkę. – Przecież nic się nie stało. Małe skaleczenie. Już wszystko w porządku.

– Wszyscy jesteście jednakowi. – Teraz poznaję w niej żonę Cieśli. – I jaki ja mam z niego pożytek? Och, właściwie już lepiej, jak go nie ma w domu.

I co ja jej mogę poradzić? Dlaczego on pije? Dlaczego ja piję? Za dużo by mówić.

– Niech pani nie patrzy na mnie jak na złoczyńcę. Wytrzeźwie-

jemy, umyjemy się i znowu będziemy zadowoleni z życia. Tyle wódki pani zmarnowała.

– On już jest alkoholikiem A mówiłam mu, rzuć to pływanie. Co ty masz z tego życia. Dzieci ojca nie znają. Mały tylko czeka na to, co mu ojciec przywiezie. Gdyby nie to, nazywałby ojcem każdego innego.

– Ale to piękny zawód, proszę pani – mówię słodziutko i podstępnie. – Męski zawód. Morze, dalekie kraje, romantyzm. Kochamy ten zawód.

– Jaki tam romantyzm. Proszę pana, zawsze jestem sama. Przed ślubem – sama, po ślubie – sama, z dziećmi – sama. A taki przyjedzie raz na kilka miesięcy i pijany jak świnia. Zresztą, co ja panu będę tłumaczyć. Jutro znowu wypływacie.

Szkoda mi tej kobiety. Właściwie niewiele jest kobiet zadowolonych ze swego «marynarskiego» losu. Jeśli któreś to odpowiada, to albo jest stara, albo potrafi pocieszyć się i bez męża: nie ma staroego w domu, pieniądze lecą, wszystko OK. Patrzę na nią i stwierdzam, że jest ładna, nawet bardzo ładna. Zgrabna figura i tylko oczy pełne melancholijnej rezygnacji. Frajer ten cieśla. Mieć taką żonę i schlewać się właśnie wtedy, kiedy może z niej korzystać ile zechce. Pragnął chyba jej przez te cztery miesiące rejsu. Znam jednak ten ból, który powoduje, że nie można zapomnieć o ponownym wyjeździe. Myśli się o nim, wiszącym jak miecz, nawet w chwilach największego odprężenia.

– Właściwie zachowałam się jak idiotka. – Poprawia odruchowo włosy. – Rzeczywiście, szkoda tej wódki. Na pewno odbijecie sobie to jeszcze z nawiązką. – Uśmiecha się blado i siada obok męża.

Cieśla przytomnieje na chwilę i wlepia zdumione oczy w żonę. A potem unosi się lekko i opiera głowę o jej kolana. – Kochana stara – belkocze. Kobieta dotyka jego włosów, zakrzepniętej krwi na szyi.

– Właściwie to on nie jest taki zły – mówi.

Wychodzę z kabiny i tuż za progiem natykam się na Wacka.

– To co, pijemy? – Pyta i sięga ręką do klamki. – Zaraz przyjdzie Franek.

– Daj spokój – mówię. – Żona jest u Cieśli.

– Ale wpadł. – Chichocze Wacek. – Dała mu popalić, co?

Zostawiam go, ucieszonego, na środku korytarza. Jestem przekonany, że czeka mnie jutro murowany «moralniak»...